Romeo i Julia
– i. Ludowy 1991/92

Szwajcaria w Nowej Hucie

Wręczają mi wizytówki i numery telefonów komórkowych, proszą, bym ich wypowiedzi przesłała do autoryzacji e-mailem. Nigdy nie rozpoznałabym w tych ludziach dawnych skinheadów i punków, których na początku lat 90. Jerzy Fedorowicz namówił do zagrania w „Romeo i Julii".

ANNA BIKONT

Teatr Ludowy otacza blokowisko, na balkonach suszy się pranie. Ci, których Jerzy Fedorowicz zaprosił do udziału w spektaklu, należeli do trzeciego pokolenia mieszkańców Nowej Huty. Ich dziadkowie na balkonach hodowali króliki i kury, a w wannach świnie. W antykomunistycznym Krakowie, do którego dobudowano proletariacką Nową Hutę, mówiono o nich „nowohutasy".

Teatr powstał jako reakcja władz na kilka linijek z „Poematu dla dorosłych" Adama Ważyka: „Są ludzie spracowani, /są ludzie z Nowej Huty/, którzy nigdy nie byli w teatrze". Wezwano głównego architekta i w trybie nagłym kazano mu zaprojektować teatr. Kilka miesięcy później objęła go Krystyna Skuszanka; za jej dyrektorowania cieszył się zasłużoną renomą. Czas jakiś teatr obłożony był środowiskową anatemą, gdy rządził nim partyjny narodowiec Ryszard Filipski.

Chcę mieć spokój przed teatrem

Jerzy Fedorowicz 18 lat grał w Starym Teatrze w Krakowie. Pod koniec lat 80. zaciągnął się jako oficer rozrywkowy rejsu na Pacyfiku. Gdy wrócił, zaproponowano mu objęcie Teatru Ludowego. Został dyrektorem we wrześniu 1989 r. Gdy w grudniu miała miejsce premiera „Człowieka z marmuru. Początek i koniec", anarchiści burzyli nieopodal pomnik Lenina. Zmarznięci dziennikarze i operatorzy TV wpadali do foyer, żeby się ogrzać, i w ten oto sposób teatr się przebił. Następną premierą była „Iwona, księżniczka Burgunda" w reżyserii Jerzego Stuhra.

Sytuacja w teatrze się poprawiła, za to gorzej zrobiło się przed teatrem. W którymś momencie Fedorowicz miał już dość szefowania w miejscu, do którego strach podejść. W mieście nasilały się walki punków, skinów i metalowców, którzy atakowali też przechodniów. Autokary, którymi podjeżdżały ostatnie wycieczki zakładowe, obrzucano kamieniami.

Listopadowego wieczoru 1990 r. Fedorowicz poprosił policjantów, by zabrali stojące przed teatrem suki, i wyszedł na plac przed teatrem do zadymiarzy: – Ten teatr to ostatnie oświetlone miejsce w okolicy – przemówił. – Jeżeli go zdemolujecie, to wygasną już wszystkie światła. Zapraszam do środka, pogadamy.

Skinheadzi zostali zaproszeni na próbę musicalu o św. Franciszku. Obiecali, że nie będą dymić. Więc niedługo potem zaprosił punków. 13 stycznia 1991 r. na widowni nowohuckiego teatru po jednej stronie zasiadła wygolona grupka nastolatków, po drugiej – wielobarwne irokezy i skórzane kurtki nabijane ćwiekami.

– Fedor zaproponował nam granie w „Romeo i Julii", punki – Montecchich, my – Capulettich – mówi dawny skin, wtedy 16-letni uczeń technikum elektronicznego. – Przyszliśmy silną grupą, nastawieni na niezłą zadymę. Z ciekawości, co taki klient może chcieć od nas. I śmiech na sali. My razem?

Reporterce „Gazety" Beacie Pawlak, która pisała o spektaklu przed premierą, Fedorowicz mówił: – Jak się nie uda z Szekspirem, wymyślę coś innego, może mecz piłki nożnej. Chcę mieć spokój przed teatrem, a oni muszą poczuć, że można w życiu robić coś innego.

Z Nowej Huty do Werony

– Ustaliliśmy, że idziemy na to, bo lubimy zabawę – mówi Romeo, czyli Agrafa, wówczas uczeń Technikum Hutniczo-Mechanicznego i lider PGR, czyli Punkowej Grupy Rockowej. – Wtedy skini wyszli, ale to był policzek dla nich, że my nie boimy się z nimi współpracować.

Za kilka dni stawili się w komplecie i skinheadzi, i punki. Fedorowicz obiecał, że kupi im ciężkie buty – glany, kurtki flyersówki, wojskowe spodnie, pasy, bandany na głowę, pieszczochy, czyli skórzane bransolety z ćwiekami, i wszystkie te rekwizyty teatralne dostaną na własność.

Dlaczego zdecydowali się przyjść?

– A co, miałem siedzieć przed blokiem na ławce? – odpowiada Merkucjo, krewny księcia Werony i przyjaciel Romea.

– Nie miałem co robić. Uciekłem właśnie ze szkoły – tłumaczy Escalus, książę Werony.

– Nudziło mi się – mówi stary Montecchi, zwany Słoniem.

– Można było wtedy albo robić różne brzydkie rzeczy na osiedlu, albo nie robić nic – tłumaczy Romeo. – Zamykali domy kultury, ośrodki sportowe. Gdy chcieliśmy mieć próby w Młodzieżowym Domu Kultury, słyszeliśmy: dla was nie ma miejsc. Jeszcze próbowało się tu i tam – i szło się na jabcoka do parku.

– Rozeszła się plotka, że szef będzie rozdawał kurtki – mówi dama dworu Capulettich. Po stronie Montecchich słychać to samo: – Zdobyć glany, to był wyczyn stulecia, a tu wszyscy je mieli dostać.

Pety gasili o wykładzinę. Kiedyś ktoś pijany zasnął z niedopałkiem i podpalił kanapę. Po próbach zostawały połamane krzesła, oplute schody, wykręcone żarówki, na ścianach gęstniała sieć graffiti. Nie najlepiej pachnieli. W powietrzu unosiła się woń marihuany. Prowokowali Fedorowicza, lecz on nie reagował. Wypraszał tylko najbardziej pijanych i zaćpanych.

– Kiedyś jakieś 70 proc. tych, którzy przyszli na próbę, było pijanych – opowiada Merkucjo. – Fedor klął, wrzeszczał, że z gówniarzami nie będzie pracował. Jeszcze dwa miesiące później przychodziliśmy trzeźwi i punktualni.

Sam Fedorowicz, dziecko inteligenckie (oboje rodzice w AK, po wojnie w WiN, nazywali się jakiś czas Wirscy, bo na ojcu ciążył wyrok. Po ujawnieniu ojciec wrócił do swojego nazwiska, był aktorem, mama – nauczycielką), chodził do szkoły w Krakowie na Kazimierzu, cieszącym się na przełomie lat 50. i 60. jak najgorszą sławą dzielnicy lumpenproletariatu, który zajął pożydowskie domy.

– Chuliganiłem – opowiada. – Raz coś ukradłem, raz pocięliśmy namioty ZMS-u, pies nas wytropił, zamknęli nas w poprawczaku, zdzielili pasem.

Z tamtych czasów został mu knajacki zaśpiew, biegłość w niecenzuralnej mowie i dobry kontakt z trudną młodzieżą. – Był taki jak my – mówi Romeo. – Na jego dzielnicę, jak i na naszą, nie mógł wejść nikt obcy. I tak samo miał kolegów, którzy już się zupełnie wywrócili.

Dla swoich aktorów Fedorowicz zaangażował trenera kung-fu. Mieli wpływ na scenariusz. – Chciałbym muzykę czadową, żeby się Szekspir w grobie przewrócił – mówił Romeo. I mieli taką muzykę. – Czasem dawaliśmy czadu – opowiada książę Werony. – Jeden drugiego kopnął, ktoś spadł ze sceny.

W scenie balu tańczyli pogo, z gwałtownym odbijaniem się w powietrzu biodrami. Dodatkowa okazja, żeby komuś porządnie przyłożyć, bo w scenach potyczek nie udawali, ale tłukli się naprawdę. Potem była przerwa na scenę miłosną i znów się tłukli. Fedorowicz pamięta, że na pierwszych próbach, jak tylko była mowa o miłości, wybuchali śmiechem. A później była przejmująca cisza.

Reporterka „Gazety" pytała wtedy Romea, czy możliwa jest miłość, jaka przydarzyła się Romeo i Julii. – Tak – odparł – tylko dziś oboje zaćpaliby się na śmierć.

W pierwszej scenie w rytm ogłuszającej muzyki wpadają na scenę dwie hordy. Za balkon służy platforma na stalowych drutach z obskurnym materacem. To na nim odbywa się scena miłosna między Julią w czarnych spodniach i Romeo z irokezem na głowie. Oboje piękni.

Próby były otwarte, czasem asystował tłum punków, to znów przeważali skini. Przekrzykiwali się z aktorami, śmiali się, gwizdali. W dzień premiery, 3 maja 1992 r., tylu widzów czekało na dwo-

rze, że odegrano aż dwa premierowe przedstawienia, jedno po drugim.

– Zawsze się wykładałem w tym samym momencie – opowiada Merkucjo. – Wszystko do dziś pamiętam, a tego, co miałem powiedzieć przed śmiercią – nie. Opadałem z głową na kolana Romea, a on mi podpowiadał. Był z nas najbardziej zacięty, nauczył się nie tylko swoich kwestii, ale wszystkich ról. A potem jeszcze raz się uparł i skończył studia. Nie był lubiany, bo robił to, co zaplanował, żadnej spontaniczności. Po próbach szliśmy na ławkę czegoś się napić, a on – nie. Pełnił funkcję rozjemcy, dbał, żeby nie dochodziło do ekscesów. Romeo mówił: „I wy macie rację, i wy macie rację". Fedor inaczej: „Wyjdźcie poza teren, dajcie sobie po mordzie i wróćcie na próbę".

– Teatr stał się miejscem spotkań młodzieży, neutralną Szwajcarią w Nowej Hucie – mówi Romeo. – Zjeżdżały się telewizje z Japonii, z całego świata, to robiło na nas wrażenie. Teraz wiemy, jak to się nazywa: terapia przez sztukę. Ale wtedy nawet Jurek tak by tego nie nazwał. Nie był naszym lekarzem, tylko głównodowodzącym żywiołem. Później, jak się spotykaliśmy na mieście ze skinami i w ich brygadzie był ktoś z teatru, to ja mówiłem moim, że się nie bijemy.

Irokezy w operze

Spektakl wystawiali w ośrodkach Monaru, w Bratysławie, w Bańskiej Bystrzycy. Ale pierwsze zaproszenia przyszły z Niemiec, przez które po zjednoczeniu przechodziła fala neonazizmu. Z teatru dzwonili na posterunek Straży Granicznej: – Zaraz przyjedzie do państwa samochód, połowa będzie łysych, połowa z irokezami, prosimy ich przepuścić.

Wystawiali „Romea i Julię" w niemieckich kulturfabrikach, przerobionych ze starych browarów, gdzie oglądały ich dzieci tureckich gastarbeiterów, na renomowanych scenach, jak Thalia Theater w Hamburgu, i na festiwalach, np. we Freiburgu, gdzie w foyer zderzyli się z publicznością we frakach, która na sali obok słuchała Placida Dominga w „Carmen". Zaprosili ich do Émancé pod Paryżem na międzynarodowy obóz dla młodzieży zagrożonej. – Byli fantastyczni. Stali się tam liderami, choć nie znali żadnego języka – mówi Fedorowicz.

„Der Spiegel" przeprasza

1 października 1992 r. wieczorem niemiecki tir zaparkował koło osiedla Szklanych Domów. Kierowca Wilfried Fronzek i jego zmiennik poszli do kawiarni, gdzie zaatakowali ich nożami skini. Fronzek wykrwawił się na śmierć. Działo się to tuż po próbie „Romea i Julii". Fedorowicz dowiedział się o tym z telewizji. Pobiegł na komendę sprawdzić, czy wśród zatrzymanych nie ma jego aktorów. Potem na próbie mówił: „Przepraszam was za ten brak zaufania".

Następnego dnia wieczorem na krakowskim placu Matejki stu skinów czekało na wyjeżdżających do Szczecina kibiców Wisły. Do szpitali trafili broniący ich policjanci. Pięć dni później pobito mężczyznę, który zapalał znicz na miejscu śmierci Fronzka. Potem napadnięto pięciu Duńczyków. A wcześniej była jeszcze staruszka zepchnięta do szybu windy i pobicie kolorowych studentów Politechniki.

Gdy w 1993 r. w tygodniku „Der Spiegel" ukazał się tekst, w którym cytowano Radka, jednego z Capulettich, że „Hitler nie był znowu taki zły" – nie wpuszczono ich do Niemiec, gdzie byli zaproszeni na Festiwal Polskiej Kultury w Halle. Fedorowicz opowiada, że wtedy w Niemczech podpalano domy azylantów, a „Der Spiegel" napisał, że w Nowej Hucie działa faszystowski teatr. Ujęło się za nimi kilka organizacji w Niemczech, słali protesty, tak że w końcu przepraszał ich i „Der Spiegel", i organizatorzy festiwalu.

Dokonania nowohuckich punków były mniej gwałtowne, rozpisywały się na pojedyncze losy. Pierwszy konflikt dotyczył zwykle włosów: za irokeza można było wylecieć ze szkoły. Powtarzał się scenariusz: konflikt z domem, z nauczycielami, wylatywanie z kolejnych szkół, wreszcie zostawało tylko picie na ławkach. – Skini pili tylko piwo – mówi Merkucjo – i to tak, żeby się nie upić, zwracali uwagę, jak ludzie na nich patrzą, a nam było wszystko jedno, czy jesteśmy lepsi, czy gorsi. U nas był styl: jabcok do oporu.

W przedstawieniu brało też udział kilka dziewczyn, które nie były ani punkówami, ani skinheadkami.

– Trafiłam tam jako protegowana Fedora – mówi jedna z nich. – Znał moich rodziców. Chciałam być aktorką, chodziłam na prywatne lekcje, żeby ćwiczyć tekst, a tam na próbach lenistwo totalne, przychodzili pijani, tyle agresji... A te dziewczyny punków, niedomyte, wredne, z setką wpiętych kolczyków. Mój ojciec pracował wtedy w Niemczech i przyjechał na spektakl obładowany owocami, słodyczami. Zaraz się wszyscy rzucili jeść i chować, stół opustoszał, a jak poprosiłam o banana, nikt mi nie chciał dać. Grali, bo dostawali za to buty, diety. Hołota poniżej norm etycznych. Ich bunt był w imię lenistwa. Punkowcy byli bardziej zdegenerowani. Wszyscy biedni, a przez to cwani. Jak mieszkaliśmy w hotelu, to pierwsza myśl była: podpieprzyć, co się da. Ja bym nigdy takiej młodzieży nie poświęciła czasu, ani nie pozwoliła, by moja córka zadawała się z takimi psycholami. Nie wierzę, że zmienili się na korzyść.

Pytam Fedorowicza, czy rozmawiał z nimi o ich ideologii. – Widziałem, że skini są manipulowani przez polityków. Nie starałem się ich do niczego przekonać. Tylko mówiłem: nie rozmawiajmy o polityce, rozmawiajmy o miłości.

– Fedor nigdy nie opowiedział się po żadnej stronie – mówią zgodnie Montecchi i Capuletti.

– Jak się zaczynały dyskusje o Polsce dla Polaków – opowiada Merkucjo – zawsze kończyło się tym, że ktoś dostał po mordzie. Ale po próbach chodziliśmy razem na piwo. Tymczasem jak jeździłem na festiwale do Jarocina, moi koledzy uważali, że podanie ręki skinowi to zeszmacenie się.

– Na niektórych osiedlach Nowej Huty byli sami skinheadzi, może dwóch-trzech punków, co wymagało nie lada odwagi – opowiada Romeo. – Czasem ktoś zostawał skinem, bo akurat mieszkał na takim osiedlu, ale potem musiał się godzić na te brzydkie rzeczy, nacjonalizm, rasizm. Z kolei my, punki, to były piękne

> Wystawiali „Romea i Julię" dla dzieci tureckich gastarbeiterów i na prestiżowym festiwalu we Freiburgu, gdzie we foyer zderzyli się z publicznością we frakach słuchającą Placida Dominga śpiewającego w „Carmen"

idee, dobra muzyka, kontrkultura wobec obowiązującego socjalistycznego syfu, wydawaliśmy własną trzecioobiegową prasę, byliśmy tak samo przeciwni komunistom, jak i „Solidarności", bo uważaliśmy, że i jednym, i drugim chodzi o władzę. Ale wszystko niszczył alkohol.

Samotność w koszarach

Przypatrywałam się próbom przed ostatnią premierą w Teatrze Ludowym sztuki „Bici biją". Pisała ją, przerabiając między jedną próbą a drugą, krakowska psycholog Inka Dowlarz. Sztuka jest dydaktyczna, traktuje o agresji u młodych ludzi, ale kończy się happy endem.

– Chciałem tekstu z jasnym przesłaniem: „To jest dobre, a to złe" – opowiada Fedorowicz. – Naszym zadaniem jest przygotować widza, by potem mógł pójść na przedstawienie Krystiana Lupy czy Andrzeja Wajdy. U nas już ósmy rok idzie „Poskromienie złośnicy" Szekspira w reżyserii Stuhra. Kiedy na ekrany wszedł „Wodzirej", to przecinali Stuhrowi przed teatrem koła w aucie, bo myśleli, że jest tak samo wredny jak grana przez niego postać. Ja dla takich ludzi robię teatr.

Teatr Ludowy to tylko jedna z wielu spraw, którymi Fedorowicz się zajmuje. Prowadzi też warsztaty teatralne dla uzależnionych przy Monarze. Sami są scenarzystami, aktorami, reżyserami. Odgrywają scenki, np. dziewczyna umówiła się na randkę z kolegą Arabem, rodzice nie chcą jej puścić. W krakowskim ośrodku Monaru prowadzonym przez Marka Zygadłę rozmawiam z osobami, które przeszły przez warsztaty: – Traktował nas jak równych sobie. Nie uważał, że jesteśmy gorsi. Minęło pół roku, nim zacząłem odzywać się na terapii, otworzyła mnie praca z panem Fedorowiczem.

Robi spektakle z narkomanami świeżo po odwyku podczas Dni Ulicy Kanoniczej. Współorganizuje Dzień Samotnego Małolata obchodzony na ulicach Krakowa w pierwszą niedzielę po Dniu Dziecka. – Zdarza mi się na coś zabrać pieniądze z budżetu teatralnego, łamiąc prawo, bo to nie jest przewidziane w statucie. Tylko Fundacja Batorego zawsze mnie wspiera, czasem jeszcze pomaga miasto.

Jak Wisła awansowała do I ligi, przekonał władze miasta, by na Rynku uczcili ten sukces. – Dość przyzwoicie się zachowywali, choć to zawsze groźnie wygląda, jak taki tłum idzie. Zabrali mnie z kawiarni przy ratuszu i dwudziestu kibiców podrzucało mnie do góry.

Odwiedzamy podkrakowskie OHP umieszczone w dawnych koszarach ZOMO. – Tam jest taka samotność – opowiada mi po drodze – że dziewczyny łączą wszystkie łóżka na sali. Więc odwiedzam ich czasami. Jeżdżę też do więzień, domów dziecka, ośrodków Monaru, poprawczaków, zakonnych zakładów dla panienek bardzo zaniedbanych.

Jego odwiedziny przypominają profesjonalny amerykański show. Tyle że bez cienia politycznej poprawności. Fedoro-

dokończenie na s. 22

dokończenie ze s. 21

wicz rzuca komplementy dziewczynom, niedoczesanym, opartym niedbale łokciami o stół, a one piękniej mu w oczach, poprawiają włosy, zakładają nogę na nogę. Sypie dowcipami (średnio wyszukanymi). Zadaje pytania: Skąd jesteś? Dlaczego się tu znalazłeś? Widziałeś, żeby się ludzi kochali i żeby to trwało długo? Miałeś kłopoty z alkoholem? Bo ja miałem, grzałem tak 30 lat temu, aż się przeraziłem, że się wymóżdżę.

To na terenie tego OHP miała miejsce w ostatnią Wigilię premiera „Bici biją", połączona z opłatkiem i śledzikiem.

– Jestem europejskim specjalistą od kultury na obrzeżach miasta – mówi o sobie. – To jest teraz problem w całej Europie. Nie starcza miejsc dla aktorów na scenach, niech pracują w domach dziecka, z niewidomymi, upośledzonymi. W Ameryce z agresywną młodzieżą pracują profesjonalni aktorzy, tancerze. Mówię aktorom: „Zobaczysz, jak to cię rozwinie, to wymaga uruchomienia nieprawdopodobnych zasobów energii. Po przejściu takiej próby właśnie ty wygrasz casting. Ja to widziałem w Ameryce".

Szkoli do tego typu prac w ramach programu Stowarzyszenia Centrum Wolontariatu w Krakowie. W 1996 r. dostał tytuł Wolontariusza Roku.

Wódka dla przyjemności

Gdy nastała demokracja i na prezydenta Krakowa wybrano profesora Jacka Woźniakowskiego, został u niego dyrektorem wydziału kultury. Był w poprzedniej kadencji radnym i przewodniczącym komisji kultury. – Bankiety dla gości z zagranicy odbywały się w Chłopskim Jadle, a tam wiadomo: pierogi ze skwarkami, smalec, goście uważali na cholesterol i stoły zostawały pełne. Byłem umówiony z szefem, że wszystko, co zostaje, zabieram. Pakowałem do samochodu i zawoziłem do Monaru.

Jeszcze zajmował się tym, by Jagiellońskiej nie przemianować na ulicę św. Jadwigi (mimo że Papież ją właśnie beatyfikował), a placu pod Barbakanem nie nazwać placem Zbrodni Armii Czerwonej („Jak się umawiać z dziewczyną na takim placu?" – przekonywał prawicowych radnych). W tej kadencji kandydował do sejmiku wojewódzkiego z Unii Wolności i dostał 15 tys. głosów, największą liczbę w obwodzie.

– Trzy lata z rzędu organizowałem sylwestra na Rynku. Koledzy zarzucali mi: „Robisz sobie kampanię wyborczą". Wtedy odpowiadałem: „Ty też postój sobie pół nocy na 20-stopniowym mrozie i krzycz". Pierwszego roku było wielu pijanych i agresywnych, a ostatnim razem było przyjemnie i bezpiecznie. Mnie chodzi o to, żeby Polska była roześmiana, kolorowa i żeby tu pili wódkę dla przyjemności, nie dla agresji.

W zeszłym roku Fedorowicz nakręcił dla 2 TVP cykl programów „Zadyma". Oglądam kolejne kasety.

Program „Agresja": namówił do przyjazdu chłopców z zakładu poprawczego w Pszczynie, gdzie siedzi wielu młodocianych morderców. Zaprosił też tzw. grzeczne dzieci z dobrych krakowskich liceów. Jedno z nich opowiada, jak zostało kiedyś bez powodu pobite.

– A jaką miałeś czapeczkę, z jakiej firmy, oryginalną? A plecak, też oryginalny? – ripostowali chłopcy z poprawczaka. – I powiedz, gdzie mam się rozładować? Co robić po szkole, jak miejsca, gdzie kiedyś można było trenować, wynajęły banki? Trzeba znaleźć ofiarę, żeby z siebie tę energię wyrzucić. Po mojej dzielnicy ja idę, ktoś idzie, i to dla mnie naturalne, że, k..., muszę go złać.

Inka Dowlarz, która była asystentką Fedorowicza przy „Zadymach": – Ci młodzi uważają, że jak zachowują się agresywnie w świecie pełnym zła, to działają racjonalnie. Fedorowicz potrafi rozbić ich uporządkowany obraz świata przez to, że nie okazuje im wrogości, lekceważenia, tylko konfrontuje ich z innymi.

Następny program – o konflikcie pokoleń. W kolejnym niedoszli samobójcy opowiadają o przyczynach swojej rozpaczy.

Program z kibicami. – Spędziłem miesiąc na tym, żeby usiedli koło siebie kibice Wisły i Cracovii – mówi Fedorowicz. – To była moja porażka, bo w końcu pojawili się tylko wiślacy, którym ja kibicuję. Ale za to, mimo że przyszło ich siedmiuset, to ani jedno krzesło w studiu nie było połamane, a z raportu policyjnego wynikało, że po drodze, jak wracali, też nic nie zostało zniszczone.

Po 12 programach telewizja w 1998 r. zdjęła z ramówki „Zadymy". Kilka nagrań wciąż czeka na emisję. Po kasety zgłaszają się do Fedorowicza nauczyciele, studenci. Już nawet powstały na ich podstawie prace magisterskie.

Z Werony do biznesu

Julia, piękna, elegancka, starannie umalowana, jest przedstawicielem dużej firmy tytoniowej.

Romeo, garnitur, długie blond włosy, puszyste jak z reklamy szamponu, i starannie upięte z tyłu, skończył politechnikę, jest informatykiem.

– Glany mi się zniszczyły – mówi – ale coś mi z tamtych czasów zostało w głowie, słucham jakiejś muzyki. Jeszcze niedawno częściej chodziłem w skórzanej kurtce niż w garniturze, teraz na odwrót. Zdarzyło mi się nie zostać przyjętym do pracy przez długie włosy, bo zanim mnie zobaczyli, wszystko wskazywało na to, że im pasuję. A przecież jakby jasno powiedzieli, tobym ściął.

Romeo działał w programie Młodzi Inicjatorzy Projektów na rzecz Rówieśników przy organizacji CEMEA, afiliowanej przy Radzie Europy.

Pytam: – Co mu dał teatr?

– Jak chcę dziewczynę poderwać, mogę zacytować tekst, już to parę razy wykorzystałem. To była przygoda, nie psychoterapia, ale jednak lepiej umiem wyrażać uczucia. I w jakimś sensie to, kim dziś jestem, zawdzięczam Jurkowi. Dwie osoby z trzydziestu utopiły się w narkotykach, nawet liczmy z piętnastu, bo to nie groziło skinom. A ilu mogło się utopić?

Książę Werony, który wtedy miał 16 lat i trzy lata mieszkał w piwnicy u kolegi („szkoda było mi czasu na naukę i wolałem robić coś pożytecznego, na przykład jeździć na motorze"), spotkał kiedyś na ulicy kolegę, który szedł zdawać do liceum, i zaciągnął go na egzamin. Liceum skończył, zajmuje się rękodzielnictwem w kamieniu i robieniem mebli. Ożenił się z dziewczyną z teatru, tak jak Tybalt, bratanek pani Capuletti, razem doliczył się pięciu trwałych teatralnych par.

Merkucjo prowadzi firmę produkującą tapety. – Zacząłem punkować w szóstej klasie podstawówki – wspomina. – Miałem tak zwany dobry dom, tatuś był inżynierem w Hucie, matka nauczycielka. Z początku należałem do sezonowców: na wakacjach zapuszczało się irokeza, i jeszcze szło się w nim pierwszego dnia do szkoły, a potem się zaczesywało. Skinole też bywali sezonowi. W zawodówce już chodziłem stale z irokezem. Piłem, bo lubiłem być na wiecznej bani, i do tej pory punk mi się kojarzy właśnie z banią. Miałem 17 lat i pierwszy raz wyjechałem za granicę. Byłem już wtedy załogantem, czyli skupiałem się na tym, żeby być w zbieraninie bliskich mi punków i z nimi się włóczyć. Ale jak miałem do wyboru pójść na zadymę czy na koncert, wybierałem koncert, a było wielu takich, którzy tylko myśleli o zadymie.

Merkucjo opowiada, jak miał problemy z pracą i pomógł mu Fedorowicz. – Nie byłem za bardzo ideologiczny, pasowało mi towarzystwo ludzi odjechanych, ale dążenie do anarchii za wszelką cenę uważałem za głupotę, może zresztą większość tak uważała, tylko udawali twardzieli, w każdym razie moi bardziej ideologiczni koledzy są dziś alkoholikami. Skończyłem zawodówkę budowlaną. Myśmy wiedzieli, że kiedyś powiesimy glany na kołku i skórę do szafy, że punk, który się nie zatrzyma, kończy jako menel. Zachlany przed sklepem chodzi i sępi, żeby się napić czy nacpać. Na Rynku spotkałem niedawno dwóch z irokezami i moja pierwsza myśl była: „Wy, tumany".

W pubie wpadam na Romea

Juro, który na scenie wygłaszał tylko jedną kwestię (kiedy Romeo pytał, wskazując na Julię, kim jest ta dama, odpowiadał: „Ja tam nie wiem, panie"), poza sceną był jednym z głównych ideologów.

– Miałem 16 lat – opowiada – i zdałem do technikum elektronicznego. Zanim zostałem skinheadem, krótko punkowałem, na przełomie między podstawówką a szkołą średnią. Wyleciałem z technikum między innymi za to, że przyszedłem do szkoły z irokezem. Pojawiły się narkotyki. Nie podobało mi się to, tak jak i to, że nie było żadnej solidarności, jeden okradał drugiego, normalny rozbój, można było stracić pas, kurtkę skórzaną. A poza tym nie miałem lewackich poglądów. Chciałem zmieniać świat jak wszyscy młodzi i chciałem go zmienić tak, żeby Polska była silniejsza. Uważałem się za narodowca i to było powodem związania się ze skinheadami. Fedor twierdzi, że to nas nauczyło tolerancji, ja uważam, że nie, bo ja i tak wcześniej nie miałem do nikogo urazy. Niektórzy do końca się jej nie nauczyli, ale uważali, że jak dostali glany, to powinni dotrzymać słowa.

Związał się ze Szprychą, która była punkową i grała damę dworu Montecchich. – Niektórzy się na to krzywili. Ale – opowiada dalej – przecież po to samo zostaje się punkiem czy skinheadem, żeby żyć tak, jak się chce, zgodnie ze swoimi ideałami, a nie tak, jak oczekują inni. Poznałem punkowców z Gorlic, napisałem do ich zina [pisma wydawanego poza oficjalnym obiegiem – przyp. red.] o doświadczeniach z teatrem, stawiałem im irokezy, bo z czasów, gdy byłem punkiem, zostało mi zamiłowanie do tego.

Przez czas jakiś był sympatykiem Stronnictwa Narodowego Macieja Giertycha.

– Moje poglądy były wtedy bardziej radykalne, teraz uważam się za konserwatywnego liberała. Doszedłem do tego, że świata nie zmieni się na ulicy. Na przełomie lat 1992/93 wstąpiłem do KPN, byłem rzecznikiem prasowym Okręgu Krakowskiego KPN-OP, szefem małopolskiego Strzelca [paramilitarnej przybudówki KPN – przyp. red.].

Jest radnym drugiej kadencji, w poprzedniej – KPN, w tej – AWS.

– Po rozłamie uznałem pomysły Słomki, takie jak lustracja gospodarcza, za idiotyczne, lewackie. Jestem w komisji bezpieczeństwa i praworządności oraz w komisji edukacji, kultury i sportu. Organizowałem przegląd sztuki alternatywnej „Młodzież przeciw przemocy". Nieźle wylądowałem, robię to, co chciałem. Glany noszę do dziś, to mój łącznik z przeszłością.

Dawna narzeczona Juro, dama dworu Montecchich, studiowała bankowość, teraz studiuję filozofię, jest jedną z najlepszych studentek na roku, pracuje w spółce leasingowej. – Tamten czas, kiedy wygląd miałam ortodoksyjny – irokez na 30 cm, kurtka skórzana – to był zmarnowany czas. Z nikim z nich się nie spotykam, czasem w pubie wpadnę na Romea.

Radek, jeden ze sług Capulettiego, ożenił się z teatralną Julią. Opowiadał w programie „Zadymy" nagrywanym trzy lata temu: – Chodzę na mecze, robię zadymy, ja to lubię, jestem dumny, że jestem skinheadem. Na początku razem wszyscy napieprzali, punk był agresywny, a potem wdał się w ruch anarchistyczny, a teraz pacyfizm, i to mnie wkurza. Polityka to syf, byłem w Stronnictwie Narodowym i byłem manipulowany. Dalej chodzę w glanach. Ale jeżeli chcę się bić, to idę na mecz, bo tam tak samo chcą się bić. Nie biję staruszek. Lubię agresję, lubię przemoc, ale nie zdzielę pierwszego człowieka z brzegu, to jest bzdura, a to właśnie zostało rozdmuchane.

– Mało z nas pozostało nadal skinheadami, mało punkami – mówił wtedy Romeo – a Radek jest nadal skinheadem i szanuję go za to.

Radek skończył liceum ekonomiczne, przez kilka lat pracował jako przedstawiciel jednego z browarów. Dziś prowadzi pub przy akademiku i jest studentem III roku resocjalizacji.

– Dziś już nie powiem o sobie, że jestem skinheadem. Wyrosłem z tego. Zaczęło się normalne życie, walka o pieniądz. Zostało mi zamiłowanie do dobrej zabawy, do określonej muzyki, do picia piwa z przyjaciółmi. Rzadko chodzę na mecze, nie mam czasu, i już nie muszę się bić. Ale co to wtedy znaczyło być skinheadem? Bez sensu jest mówić o ideologii, piętnować skinheadów, że to ohydni nacjonaliści, nienawidzący Czarnych. To była tylko forma buntu, odreagowania. Nie ma dużej różnicy, czy formą buntu jest słuchanie muzyki pop, czy nielubienie Cyganów – to jest kwestia przypadku. Mówiłem, że jestem faszystą, ale przecież to wyrastało z tego, że żyłem na tym, a nie na innym osiedlu. Każdy, kto jest młody i ma problemy, ma radykalne poglądy. I każdy w jakimś momencie staje przed wyborem: albo się od nich odbije, albo zginie.

Na dawnych pozycjach przetrwał już chyba tylko stary Montecchi, czyli Słoń, o którym koledzy mówią „Ostatni Mohikanin". Już gdy go poznali, mówił, że jego trumna nie da się domknąć z powodu irokeza. Wielki, potężny, nosi łańcuch na szyi, łańcuch na biodrach, opadające spodnie w paski. Skończył zawodówkę, pracował w zakładach zieleni, a ostatnio jako kontroler w tramwajach.

O dzisiejszej Nowej Hucie Capuletti i Montecchi mówią jednym głosem. O tym, że rządzi dres, bejsbol i szalik. Że można dostać nawet od bardzo ładnie ubranego gościa, w dowolnym miejscu, a wtedy było wiadomo, kto kogo i gdzie. Za ich czasów mnóstwo przynależało, żeby tylko należeć do grupy, ale też stały za tym idee. Teraz to minęło. Młodzież dorastająca w III Rzeczypospolitej jest zupełnie inna, nie znają żadnych norm, wartości. Za tym idzie nieuzasadniona przemoc.

Radek mówi: – W Nowej Hucie królują złodzieje, którzy okradają samochody i sklepy. Sądzę, że to tak samo wyrasta z buntu i niedawno jeszcze ci złodzieje byliby punkami czy skinheadami. W Hucie wzrasta bezrobocie, tych zbuntowanych będzie zapewne przybywać.

Gdy mówię Fedorowiczowi, że fantastycznie udało się w życiu tym, którzy mieli szansę się z nim zetknąć, odpowiada, że części z nich nie udało się uchronić. Jeden z narkomanów, który brał udział w jego warsztatach, popełnił samobójstwo, skoczył z wieży ratuszowej.

Partner w scenie śmierci z Merkucjem, który był punkiem, potem skinem, teraz jest jednym z bardziej znanych narkomanów na Rynku. Zaczepia swoich dawnych kolegów z teatru, prosząc o pieniądze.

ANNA BIKONT

JACEK BEDNARCZYK

Scena balkonowa z „Romea i Julii", Teatr Ludowy, 5 maja 1992 r.